

# Czerwone róże dla mnie

**W**ŁASCIWIE nie znaleźmy dotąd dobrze z polskiej sceny Seana O'Casey. Wladomo było tyle, że to jeden z największych współczesnych dramaturgów starszego pokolenia, że jest i był przez całe życie pisarzem postępowym, rewolucyjnym, że stoi w długim szeregach wielkich pisarzy irlandzkich, którzy z ojczyzny wyemigrowali, tworząc w obcym kraju, jak Joyce, Wilde, Sheridan, Shaw — żeby wymienić największych, a wreszcie Beckett no i najmłodszy z nich — Behan. Bez większego echa przeszedł przed zlewnięciem laty grany w Teatrze Współczesnym jego „Cień bohatera”, nieco skandaliczny posmak miało kilka lat później bardzo niedobre przedstawienie nie najlepiej też przełożonej innej sztuki O'Casey p.t. „Kukuryku” granej na Scenie Kameralnej Teatru Polskiego („Kogut zawinił”).

W r. 1961 ukazały się w „Dialogu” w przekładzie Cecylii Wojewody „Czerwone róże dla mnie” (znowu miejscami przekład bardzo niedobry, wiele niezgrabnych, źle brzmiących po polsku zdań, dialog niesciśniony — obok wielu pięknych poetycko partii przekładu, bardzo zresztą trudnego, z irlandzkoangielskiego dialektu. Dopiero przed trzema dniami odbyła się polska prapremiera tej sztuki w warszawskim Teatrze Dramatycznym — w mistrzowskiej reżyserii Aleksandra Bardiniego \*). Studenci PWST, szczególnie adepci trudnej sztuki reżyserskiej, winni obowiązkowo zobaczyć to znakomicie zrobione przedstawienie, a i wielu naszych zawodowych reżyserów też sporo by się mogło nauczyć, zwłaszcza reżyserskiej kultury, lojalności wobec autora i wobec widza no i tej przedziwnej „magii teatru”, trudnej do podpatrzenia „teatralizacji” tekstu, nie gardzącej zresztą — i słusznie — również zarzuconymi już przeważnie efektami. Były pewne kłopoty „przestrzenne” w akcie I i II, w których akcja dzieje się w nędznym pokoju w biednej dzielnicy robotniczej Dublina. Pokój zajmuje całą dużą scenę, co wymaga niekiedy dość ryzykownych „działań fizycznych”, by jakoś ruchem dopełnić tę pustą przestrzeń. Zresztą te „działania fizyczne” — uzupełnienie słowa ruchem i gestem scenicznym — to też pokazowa robota reżyserska i aktorska.

A sama sztuka? Chyba wierniej i pełniej pokazuje O'Casey'a, niż poprzednio u nas wystawiano. Jego miłość do człowieka i wiara w niego, jego optymistyczny humanizm. Być może katolickiego widza mogą razić niekiedy te czy inne kwestie, słowa, może nawet sceny. Mogą dziwić w tej kulturalnej reżyserii takie ograne chwytliwy (zgodnie zresztą z autorskimi didaskaliai), jak narastający tupot kroków żołnierzy czy policjantów, maszerujących przeciw strajkującym robotnikom bezpośrednio po dialogu robotników — „Bogu niech będą dzięki za radość w sercu młodych... I za wiara, że Bóg ciągle jeszcze trzyma świat w swej prawicy”. Ale też Bardini potrafi również, trafniej chyba od autora, zobjektywizować i wypunktować niektóre konfliktowe problemy ideowe sztuki,

czyniąc np. niepoważnego rezonera z Mulcany'ego (Lesław Herz), „młodego człowieka, dla którego nic nie jest święte”.

Sztuka rozgrywa się w 1913 r., w którym historia irlandzkiego ruchu robotniczego zanotowała wielki strajk transportowców dublińskich. Ale nie tylko problemy społeczne, ruchu robotniczego i walki wyzwolenczej są ideowym miąższem sztuki. Jej konflikty wyrastają też z antagonizmów i fanatyzmów religijnych, z wzajemnej nienawiści protestantów i katolików. I tu stary rewolucjonista i komunista O'Casey okazał się artystą dużej miary. Racje są rozłożone, mają jakieś ludzkie wnętrze, ludzka motywacja. Autor jest wprawdzie wyraźnym i zdecydowanym „antypapieżem” i bliski jest sympatiami raczej protestantyzmu, co przejawiało się w pięknie pokazanej i z dużą kulturą zagraną przez Edmunda Fettinga postaci ewangelickiego pastora Clintona, w takich wreszcie czołowych postaciach sztuki, jak Ayamonn Breydon, z rewolucyjnym patosem ale i z młodzieńczym ogniem zagrana przez Józefa Duriasza, jego matka Pani Breydon — piękna kreacja Ryszardy Hanin (ściszona, o jakimś wewnętrznym blasku, surowa a pełna serdecznego ciepła) czy wreszcie dużego formatu rola starego Brennana, wydzwignięta jeszcze i wzbogacona wielkim kunsztem aktorskim Jana Świdorskiego. Ale autor pokazuje też takich tępych fanatyków i oportunistów protestanckich, jak członkowie Rady Parafialnej Doward i Foster, ostro zarysowani przez Zbigniewa Skowrońskiego i Zbigniewa Koczanowicza.

Wiele trzeba by jeszcze napisać — dobrego — o pozostałych wykonawcach: Ewie Wawrzon (trudna, dobrze wypracowana i prowadzona rola dziewczyny Ayamonna, Sheili), W. Łuczyckiej, H. Bystrzawskiej i B. Klimkiewicz (trafnie zarysowane, zwłaszcza w III akcie, bardzo zróżnicowane i bardzo ludzkie sylwetki dublińskich ubogich handlarzy, A. Dzwonkowskim (kościelnik), J. Paluszkiwiczu (Roory) i in. Każda postać była tu niezbędna i widoczna.

Na koniec trochę pretensji do tekstu. Teatr (może wspólnie z autorką przekładu) usunął bardziej rażące niezręczności czy błędy, ale sporo ich jeszcze zostało; starczyłoby na oddzielny felieton — a można to jeszcze doszlifować. W przedstawieniu brakło niektórych elementów „Teatru O'Casey'a”, jak chociażby inne potraktowanie pieśni i piosenek oraz bardziej stonowane zgranie zbyt kontrastujących ze sobą innych elementów tego teatru. Było to więc trochę „O'Casey po polsku”, ale tak chyba trzeba: przemówił do polskiej widowni.

STEFAN POLANICA

\*) Sean O'Casey — „Czerwone róże dla mnie”. Tł. C. Wojewoda. Polska prapremiera w Teatrze Dramatycznym. Reż. A. Bardini, scenogr. E. Starowiejska, muzyka T. Baird.